



Agnieszka
Sudomir

Miasto Obiecane:
**FAZA
REM**



GENIUS
CREATIONS

AGNIESZKA SUDOMIR

FAZA REM



GENIUS
CREATIONS

[Kup książkę](#)

SPIS TREŚCI

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
EPILOG

*To the centre of the city where all roads meet, waiting for you
To the depths of the ocean where all hopes sank, searching for you
I was moving through the silence without motion, waiting for you
In a room with a window in the corner I found truth.*

Joy Division, Shadowplay

1

– Szlag by to!

Słowa postawnego mężczyzny odbiły się echem po pustej ulicy. Śliskie, jeszcze oblepione nocną mgłą łódzkie chodniki nie sprzyjały pośpiechowi. Komisarz Igor Blattner potknął się i ledwie łapiąc równowagę, przejechał ramieniem po brudnej fasadzie kamienicy. Na rękawie skórzanej, mocno wysłużonej kurtki widniało solidne otarcie. *Wyglądam jak fleja* – pomyślał. *Totalna fleja*. Faktycznie, na pierwszy rzut oka nie różnił się specjalnie od okolicznych mieszkańców, którym zdarzało się potykać na brudnych chodnikach Wschodniej o czwartej trzydziści nad ranem. Z tą różnicą, że równowagą komisarza nie zachwiała wódka, a zwyczajne zmęczenie. Właściwie – nadzwyczajne. Od dobrych dwudziestu godzin był na nogach. Krótki prysznic w robocie nie wystarczył, by doprowadzić się do ładu. Na luksus zmiany ubrania Blattner czasu nie znalazł. Nawet gdyby miał kiedy odpocząć, niewiele by to dało. Na palcach jednej ręki mógł policzyć godziny, które w ciągu ostatnich nocy zdołał uczciwie przespać. Słuchał muzyki, oglądał telewizję, szperał w Internecie, a przez resztę wlokących się w nieskończoność minut przewracał się z boku na

bok w przepoconej pościeli, wciąż na nowo układając poduszkę, aż ta w końcu zaczynała przypominać kamień. Zdarzały się także długie sekundy zawieszenia między snem a jawą. Organizm się wyłączał, co jednak nie przynosiło wytchnienia. Przez nocne koszmary Blattner budził się bardziej wyczerpany, niż gdyby nie spał w ogóle.

Czasem po prostu bał się zamknąć oczy. Pod zaciśniętymi powiekami widział drobną postać. Ładnie ubrana sześciolatka dziewczynka wpatrywała się w niego oskarżycielskim wzrokiem. W wyobraźni komisarza sukienka była nieskazitelnie czysta. W rzeczywistości jej koloru mógł się jedynie domyślać z nielicznych wolnych od krwi skrawków materiału. Chwilę później ostatnie pomarańczowe kwiatki załała czerwień. Nie nawidził tych snów. Kiedy się budził, przez kilkanaście długich sekund wierzył, że dziewczynka żyje. Potem przypominał sobie imię. Ba-sia, Ba-sia, Ba-sia. Sylaby wbijały się w mózg niczym pneumatyczny młot. Na koniec zjawy zmieniała się w prawdę. I znów musiał oglądać maleńkie, bose, bezradnie rozrzucone na asfalcie stopy. Dlatego tak bardzo nie lubił małej ze snu. Okłamywała go i sprawiała ból. Minęło prawie osiem miesięcy, a on wciąż na nowo przeżywał jej śmierć.

Tamtego upalnego, sierpniowego ranka nie mógł zrobić nic więcej. Sam wiedział najlepiej. W zderzeniu z szaleństwem, z desperacją psychopaty żaden człowiek nie miał szans. Kiedy Blattner wyskoczył na ten cholerny dach, dostrzegł jedynie eleganckie ciemnobrązowe buty. Buty księgowego. Przyjaciela rodziny ofia-

ry. Sekundę później dziewczynka i jej oprawca lecieli w dół. Niewiele pamiętał z tego, w jaki sposób znalazł się z powrotem przed blokiem. Winda się zacięła. Albo zbyt długo nie chciała przyjechać. Albo tak mu się tylko zdawało. Jedenaście pięter po schodach pokonał w takim tempie, jakby ktoś zagiął czasoprzestrzeń. Był na dachu, a chwilę potem klęczał na rozpalonej czarnej powierzchni przy maleńkiej, nienaturalnie wykrzywionej dziecięcej nóżce. Nie potrafił sobie wybaczyć, że nie uratował Basi, ale nie mógł też odżałować, że pozwolił gnojowi uciec w śmierć. Podczas zawieszonych między snem a jawą chwil w głowie komisarza roily się najwymyślniejsze tortury. Bezlitośnie, na tysiąc sposobów zadawał psycholowi okrutny ból. Uśmiercał drania, wskrzeszał i znów się nad nim znęcał, aż wreszcie gwałtownie się budził – zlany potem, nieprzytomny z niewyspania i przerażony. Przerażony sobą. Przecież był policjantem, stróżem prawa, normalnym człowiekiem... A jednak w nocnych majakach nie różnił się od psychopaty.

Igor Blattner głęboko wierzył w sprawiedliwość, wierzył w uczciwość, w prawo. W komendzie złośliwi nazywali go czasem Panną Niewydymką. Wiedział o tym. Był nieugięty. Nie pozwalał sobie na relatywizm. Od lat nikt nawet nie próbował go korumpować. Dla komisarza świat miał prostą konstrukcję: popełniasz zbrodnię – idziesz siedzieć. Występek nie zasługiwał na wybaczenie. Zasługiwał wyłącznie na sprawiedliwą karę. Właśnie dlatego kilka lat temu Blattner wyszedł z domu i nigdy tam nie wrócił. Rozumiał, czemu Eliza go

zdradziła. Nie był dla niej ani wsparciem, ani kochankiem. W pogoni za złymi stracił z oczu własną żonę. Ale uważał, że tylko odpowiednia kara wyrównuje siły w przyrodzie – najpierw sprawiedliwość, potem rozmowa. Wyszedł więc w ciemną noc, z jednym plecakiem, nie zważając na błagania Elizy.

Do rozmowy nigdy nie doszło. Spotkali się dopiero podczas sprawy rozwodowej. Na sądowym korytarzu nazwała go skończonym dupkiem, który udaje świętoszka. Nie był hipokrytą, wtedy naprawdę wierzył, że postąpił słusznie. Jednak Eliza miała prawo do rozgoryczenia – zwykle przegrywała z jego pracą. Pamiętał sporo takich momentów: jak wtedy, kiedy jej brat rozbił się na motorze albo kiedy usłyszała wyrok, że nie będzie mogła mieć dzieci. Nie opuścił posterunku, żeby wspierać żonę. Zawsze musiała radzić sobie sama, on miał inne, ważniejsze sprawy. To także mu wykrzyczała. Może i był zakutym łbem, ale nie potrafił się zmienić. Nawet wtedy, kiedy widział w jej wściekłych oczach ciepłą isierkę nadziei, że człowiek, z którym spędziła kilkanaście lat, uczyni jakiś ruch, drobny gest, by ją powstrzymać od wejścia na sądową salę. Nie zrobił nic. Jego małżeństwo się skończyło i sam był autorem tej porażki. Wstyd przyznać, ale obok żalu poczuł ulgę. Tak naprawdę rola męża zawsze go uwierała. Z rozwodem skończył się też inny, trudny dla niego temat. Mimo wielu wad nie był potworem. Rozumiał, że Eliza pragnie mieć dziecko, widział cierpienie żony i było mu jej szczerze żal. Tak zwyczajnie, po ludzku. Coraz częściej wspominała o adopcji. W którymś momencie zgodził

się na wizytę w ośrodku. Czuł się jednak emocjonalnie zaszantażowany, postawiony pod ścianą. Myśl o byciu ojcem go przerażała. Zdawał sobie sprawę, że litość nie jest dobrym doradcą w takich sprawach. Z drugiej strony wiedział, jak bardzo rozczaruje Elizę. Dlatego wciąż odwlekał ostateczną decyzję.

Przechodząc obok kolejnej kamienicy, Blattner dostrzegł, że w jednym z mieszkań nadal trwa impreza. Przez brudne okna widać było dwóch młodych mężczyzn. Jeden z nich właśnie nalewał do szklanek wódkę. Na środku pokoju, ledwie trzymając się na nogach, tańczyła sporo od nich starsza kobieta. *Mają zdrowie* – pomyślał i zapiał suwak kurtki pod samą szyję. Znał szaleństwo świata. Wiedział, że gdyby miał kiedyś dziecko, obojętne: własne czy adoptowane, nie mógłby spokojnie zasnąć. Za bardzo by się o nie bał.

Co prawda teraz też nie mógł spać. Z początku udawał przed sobą, że przez tamtą akcję na dachu wieżowca. To by miało sens. Trauma może dotknąć każdego. W głębi duszy jednak dobrze wiedział, że nie śpi z powodu pokiereszowanego sumienia. Nie miał pojęcia, że sumienie może aż tak dokuczać. Kiedyś gdzieś wyczytał, że boli tylko do czasu. Tylko za pierwszym, drugim razem. Potem się znieczula. Najwyraźniej nie w jego przypadku. A może ciosy w splot słoneczny przyzwyczajoności były zbyt silne? Pierwszy: Basia, dziewczynka w pomarańczowej sukience. Czy mógł coś jeszcze zrobić? Co? Do cholery, co? Ciągle o tym myślał. Drugi: Eliza. Nie potraktował jej sprawiedliwie. Zaspokoił żądzę zemsty. Pojął to jak na siebie dość szybko, jednak

zbyt późno, by cokolwiek naprawić. Wreszcie cios trzeci, najbardziej niezrozumiały: Ada – żona Krzysztofa, najlepszego kumpla z liceum. Poznał ją na własnym ślubie jako nową dziewczynę przyjaciela. Ironia. Potem było jeszcze zabawniej. Musieli często współpracować. Aż dziw bierze, że ta eteryczna, drobna blondynka o twarzy dziecka i niewinnym zielonym spojrzeniu wybrała medycynę sądową. Najgorsze barachło. On sam, choć niejedno przeżył, czasem z trudem znosił widok, jaki przedstawiały sobą ofiary wypadków czy morderstw. Za to Ada bez mrugnięcia okiem kroiliła zmasakrowane zwłoki. Nigdy nie zauważył u niej choćby śladu szoku czy obrzydzenia. Wyłącznie chłodny profesjonalizm.

Przez wiele lat podświadomie unikał jak ognia jakiegokolwiek sam na sam. Przecież miał żonę, którą kochał. Pieprzenie! Lubił Elizę. Bardzo. Ale to za Adą skoczyłby w ogień. Jednak był przyzwoity. Na tyle, żeby ignorować własne pragnienia. Jak więc do tego doszło, że on – nieugięty, bezkompromisowy zwolennik słusznej kary od paru miesięcy oszukiwał swojego najlepszego kumpla, kradnąc mu kobietę? Sam do końca nie wiedział, nie rozumiał. Za dużo alkoholu, słabszy moment, Ada z Krzysztofem mieli kłopoty i stało się. Raz. Miało się nie powtórzyć. Ale się powtórzyło. I tak od pół roku. Było jasne, że trzeba szybko coś z tym zrobić. Inaczej wyrzuty sumienia go zabiją. Wiedział, że przyjdzie mu słono zapłacić za marzenia i że tak naprawdę niewiele ma do zaoferowania kobiecie. Krzysztof go znienawidzi, znajomi nie okrzykną ich parą roku. No i ten cały burdel w komendzie. Ktoś w końcu coś zwęszy, chłopaki

będą gadać, a w męskim świecie żony kumpli są nietykalne. Mimo tego za wszelką cenę pragnął zatrzymać Adę przy sobie. Coraz mocniej wierzył, że wszystko jakoś się poukłada. Oczywiście gdzieś tam, w tyle głowy, brzęczała natrętna myśl, że to dziecinnie naiwne, ale miał już serdecznie dość własnego asekuractwa. Tak – chciał być naiwny, głupi, nieostrożny. Ten jeden raz.

Strzepnął z rękawa kroplę wody i odłożył sprawę na później. Jak to robił od miesięcy. W przyszłym tygodniu porozmawiają. Coś w końcu ustalą. Będzie dym, kosztowny dym, ale dadzą radę. *Może nie wszystko trzeba od razu wyjawiać?* – przemknęło mu przez myśl. *Co się, cholera, ze mną dzieje?! Nic pośrodku. Krzyskowi należy się cała prawda.* Choć decyzja została podjęta, nadal nie miał pojęcia, w jaki sposób zakomunikować kumplowi, że od sześciu miesięcy bzyka jego żonę, matkę Marty – własnej chrześnicy, a teraz chce mu je obie odebrać.

Doszedł do Narutowicza i skręcił w prawo. Rzucił okiem na piaskowy gmach telewizji. Dziwne, okazały budynki – siedziba złego. *Kanalie* – pomyślał. To pierwsze, co przychodziło mu do głowy, kiedy widział dziennikarzy. Nie całkiem sprawiedliwie. Niektórzy z nich odwalali kawał dobrej roboty. Jednak tyle razy widział nagonkę na policjantów, tyle razy wybielanie przestępców, że nie mógł kochać ludzi mediów. Zniszczyli wielu porządnych chłopaków. Jemu się upiekło tylko dlatego, że znał naczelną redaktorkę *Wiadomości*. Inaczej w oczach opinii publicznej również byłby nieudolnym śledczym, który nie uratował dziecka. Co znaczyło tyle samo, jakby je własnoręcznie zabił. *Co oni,*

kurwa, wiedzą? – pomyślał. Tyle co nic. Ale idzie w eter i koniec. Żadne sprostowania, tłumaczenia nie pomogą. Liczy się pierwszy news na pasku z napisem „pilne”.

Najbardziej nie znosił pieprzonych oświadczeń dla prasy i telewizji. Mówił słowo, a oni z jednego robili trzy. Był na to za słaby. Zbyt prosty. Teraz na szczęście za większość kontaktów z mediami odpowiadał ten gówniarz, rzecznik prasowy. Komisarz nawet nie pamiętał jego imienia, ale podziwiał kunszt, z jakim szczeniak radził sobie z wyposażoną w aparaty, kamery i mikrofony szarańczą. *Co to za pokolenie? Co za czasy? Strach pomyśleć. Dawniej wszystko było proste. Glina był gliną, a nie jakimś fircykiem, telewizyjnym celebrytą. Nikt mu nie kazał gadać, bo nie był od gadania. Igor Blattner skończył dopiero czterdzieści sześć lat, a czuł się, jakby miał ze sto. Świat się za szybko zmienia. Nic dobrego z tego nie będzie – rozmyślał, zmierzając w kierunku Piotrkowskiej. Czemu tacy psychole jak księgowy nie zajmą się niektórymi dziennikarzami? Zamiast mordować dzieci, mogliby oddać przysługę społeczeństwu i pozbawić je paru cmentarnych hien.*

Kiedy wyszedł na główną ulicę miasta, dostrzegł pierwsze oznaki nowego dnia. Paru przechodniów chroniło się w szalach i grubych kurtkach przed wyjątkowo nieprzyjemnym, wilgotnym powietrzem. Minęła połowa marca, a wszyscy jeszcze mieli na sobie zimowe ubrania. Szarówka nie wskazywała na porę roku ani nawet dnia. Tuż nad grafitową nawierzchnią Piotrkowskiej unosiła się ponura, gęsta mgła. Na początku lat dziewięćdziesiątych zrobiono tu remont. Czerwona kostka nie wie-

dzieć czemu od pewnego momentu stawiała się kostką szarą. Trzy lata później nową kostkę wymieniono na jeszcze nowszą. Od tego czasu cała Piotrkowska udawała dawny bruk, z wyrytymi na żeliwnych tabliczkach nazwiskami łodzian. *Jedni mają swoje gwiazdy, inni – brukowe kostki. Każdemu według zasług. Popieprzone miasto* – skwitował Blattner. *Miasto niespodzianek*. Tak właśnie była jego Łódź. Miasto marzycieli – jak za Reymonta. Mimo trudnych lat duch Borowieckiego, Welta i Bauma wciąż był tu żywy. Od secesyjnych fasad i rudej fabrycznej cegły, od rozdzierających niebo kominów i bloków z wielkiej płyty, a teraz nawet od lustrzanych szyb biurowców niezmiennie, od niemal stu pięćdziesięciu lat, odbijały się echem słowa Polaka, Żyda i Niemca: *Ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic. To razem właśnie mamy w sam raz tyle, żeby złożyć wielką fabrykę*. Blattner nie pamiętał, który z nich je wypowiedział ani czy dokładnie tak brzmiały, ale chodziło o sens. Przypomniła mu się scena z filmu Wajdy: trzech młodych ludzi, puste pole i wielka idea. *Tak nam zostało, coś z niczego... prawdziwa magia. A potem, jak to mawiają Amerykanie: work hard, play hard...* – uśmiechnął się do swoich myśli i do swojego miasta.

Wracał od Komety. Kibol Widzewa stanowił cenne źródło informacji. Dla bezpieczeństwa spotykali się w różnych miejscach, zawsze nad ranem, wtedy kiedy nawet okoliczne łazęgi już śpią. Zaplute bramy kamienic na Wschodniej były najlepsze. W tym rejonie miasta nikt nie zajmował się cudzymi sprawami. Blattner mógł być klientem, a Kometa dilerem. Albo odwrot-

nie. Prawdę mówiąc, nie musieli niczego udawać, bo o czwartej nad ranem niektórzy spośród okolicznych mieszkańców leżeli w swoich barłogach, schlani do nieprzytomności, a pozostali szli na siódmą do roboty, więc łapali ostatnie minuty snu. Dobra pora na ciemne interesy i handel informacją. Komisarz był zdziwiony wynikiem dzisiejszego spotkania. Kometa słynął z tego, że wie wszystko, a jeśli nie wie, to się dowie. W zamian psy z okolicy przymykały oko na rozróby, które gnojek czasem urządzał. Coś za coś. To nie był relatywizm, tylko szacunek zysków i strat. Kilku szalikowców powybijają sobie zęby, ale dzięki temu ktoś dożyje osiemdziesiątki. Paru łobuzów będzie miało połamane szczęki, ale może jakiś dzieciak nie zaćpa się na śmierć. Uczciwy interes. Blattnera ni cholery nie obchodził los kiboli. Chcą zdychać za swoją drużynę? Wolna wola. Lubią tłuc się po ryjach? Na zdrowie. Tak myślał. I tego się trzymał. Dlatego miał dobry kontakt z Kometa, bo choć stali po przeciwnych stronach barykady, w tej kwestii ich poglądy były zbliżone.

Jeszcze pół godziny wcześniej komisarz liczył, że wyjdzie z ciemnej, oszczanej bramy z kompletem potrzebnych informacji. Kiedy tonącymi w mroku ulicami dotarł na miejsce, niespełna dwudziestoletni chłopak o mizernej posturze już na niego czekał. Jak zwykle siedział na schodach prowadzących do jednej z oficyn i palił papierosa. Ubrany w szarą sportową kurtkę, błękitne džinsy i biało-zielone air maxy nie wyróżniał się kompletnie niczym spośród tysięcy ziomali. Może jedynie tym, że spodnie były idealnie czyste, a biel bu-

tów aż kłuła w oczy. *Ho, ho, robiło się zakupy.* – Blattner uśmiechnął się w duchu. W stosunku do Komety miał mieszane uczucia: z jednej strony szajbus, kawał łobuza, z drugiej – całkiem sympatyczny i momentami niegłupi koleś. Pewnie gdyby nie matka – uliczna kurwa – i ojciec pijak, młody mógłby nawet skończyć jakąś sensowną szkołę. No ale ani jemu, ani żadnemu z jego trzech braci nie trafił się w życiu taki fart. Mieli za to kumpli z osiedla, którzy zastąpili im rodzinę i wychowali wedle własnych zasad. Tak skutecznie, że z całego towarzystwa tylko Kometa pozostawał na wolności. Też pewnie do czasu. Tacy chłopcy od urodzenia byli napiętnowani ciemną stroną miasta. Nie żeby Blattner się nad szczeniakiem użalał, ale dobrze wiedział, jak łatwo w podobnych warunkach wpaść w szambo po same uszy. Wiedział też, że można się z gówna wyrwać, choć niewątpliwie wymaga to sporego wysiłku. Terapeuci zdecydowanie przeceniali wpływ dzieciństwa na dalsze życie. Sam nie miał lekko. Małe mieszkanko na Bałutach (zresztą całkiem niedaleko miejsca, gdzie zamordowano tę dziewczynę). Stary – kierowca tira, wielki nieobecny. Matka – nauczycielka, kompletnie poza rzeczywistością. Najczęściej zawiana. Piła w tajemnicy przed mężem, a ponieważ ojca głównie nie było, nie musiała się specjalnie ograniczać. Kontrolowała sytuację na tyle, żeby wywlec się na lekcje do pobliskiej podstawówki i wrócić, ale niemal wieczór w wieczór odpływała. Systematycznie od obiadu. W porze kolacji zaczynali z Miską jej unikać, bo stawiała się upierdliwie czuła, sentymentalna, by w końcowej fazie popaść

w rodzaj pijackiego rozrzewnienia, co skutkowało wielogodzinnym, niestrawnym użalaniem się nad własnym losem. A to i tak było o niebo lepsze od chwil, w których chodziła trzeźwa, wkurzona na cały świat.

Stary zginął w wypadku ponad dwadzieścia lat temu. Nikt po nim nie płakał, może z wyjątkiem matki, choć za jego życia ciągle darli koty. Aż głupio wyszło na pogrzebie. Było im trochę żal ojca, ale poszli tam jak na stypę po ledwie znanym sąsiedzie.

Po śmierci starego matka popłynęła na dobre. Aż sięgnęła dna. Tak totalnego, że kilka razy zaliczyła izbę wytrzeźwień. W końcu wysiadło jej serce. Ledwie przeżyła. Po zawale wreszcie się ogarnęła: rzuciła wódkę, fajki, nawet zaczęła chodzić do kościoła. I poleciało jej w drugą stronę. Zdziwaczała do reszty. Siedziała w chałupie obłożona katolickimi pisemkami, a jedyną jej rozrywką stały się msze oraz spotkania jakiegoś kółka różańcowego. Nie miała równo pod kopułą, fakt, ale Blattner ostatecznie wołał mieć matkę dewotkę niż matkę pijaczkę. Dlatego wpadał do niej raz na jakiś czas, by mogła pozgrywać dobrą rodzicielkę na emeryturze. Gorący krupnik, zalewajka albo rosółek, kanapki na wynos, zamartwianie się jego życiem osobistym, zbawieniem i tym podobne sprawy ułatwiały im udawanie, że wszystko jest w porządku. Dominika natomiast do niedawna niechętnie widywała się z matką. Przez lata ograniczyła kontakt do świąt. Ostatnio jednak zaczęła pojawiać się u starej części. Widocznie czas leczy rany. Rozumiał siostrę – więcej pamiętała, więcej wycierpiała. Musiała szybko dorosnąć, bo nią samą nikt się spe-

cialnie nie zajmował. On miał więcej szczęścia: o trzy lata starsza Miśka zastępowała mu matkę. Ojca zastąpiła mu ulica – kumple, klatki schodowe i podwórka. Prawda, nie było to proste, też zaliczył małe potknięcia, jednak koniec końców wyszedł na ludzi. Przynajmniej tak uważał jeszcze pół roku temu. Bo teraz, cholera, niczego już nie był pewny.

Na widok komisarza Kometa podniósł się nieśpiesznie ze schodów. Blattner zauważył, że chłopak na brudnym kamieniu rozłożył gazetę. *Pewnie džinsy musiały sporo kosztować. I tak to z nimi jest. Ura bura, szef podwórka, ryki, pały i kastety, ale tak naprawdę mają te same słabości, co reszta dzieciaków.* Przez chwilę przyglądał się z rozbawieniem, jak chudzielec strzepuje z jasnych spodni nieistniejące pyłki, starannie pilnując, by nie przypalić materiału trzymanym w ręce papierosem.

– Rzuć to gówno. W końcu kiedyś cię zabije – odezwał się do chłopaka.

– Jasne. Ale nie prędzej niż życie. Życie, kurwa, mnie wykańcza, stary. – Kometa roześmiał się szeroko, ukazując duże, pożółkłe od nikotyny zęby.

– A nie Student? – Blattner lubił się z nim trochę podroczyć.

– Weź, ziomal, nie pierdol. Student może mi na chuja skoczyć. – Kibol wyraźnie się wkurzył i wyciągnął środkowy palec w międzynarodowym geście czułego pozdrowienia. – Co najwyżej – dodał po chwili namysłu.

Student był w przeciwnym obozie tym, kim Kometa był u swoich. Nie przywódcą, nawet nie mózgiem,

ale kimś równie ważnym, kimś w rodzaju powiernika i kuriera. Żaden z nich nie pociągał za sznurki, jednak nic się przed nimi nie ukryło. I obaj byli informatorami. Oczywiście jeden o drugim nie wiedział. Dzięki temu komisarz mógł z łatwością weryfikować cynki. Najpierw Blattner szukał Studenta, ale ten zapadł się pod ziemię. Szkoda, bo częściej kręcił się w rejonie Julianowskiej i pewnie wiedziałby więcej. Był też od Komety bystrzejszy. Niestety, Student zapewne szalał na gościnnych występach. Prędzej czy później wróci do gniazda. Tymczasem musiał wystarczyć jego odpowiednik z przeciwnej ekipy.

– A ty co, ziom? Przyszedłeś tu ze mną o tych żydkach z ŁKS-u gadać? – Kometa spojrzał spode łba i pstryknął niedopałkiem papierosa, aż poleciały iskry.

– Mam temat.

– Ja myślę, że nie na balety mnie tu ściągnąłeś! – Chłopak ubawił się własnym żartem, po czym chwycił go atak kaszlu.

Blattner poczekał, aż mu przejdzie, i zaczął:

– Wczoraj znaleźliśmy na Bałutach dziewczynę. Dwadzieścia lat. Uduszona we własnym łóżku. Wiesz coś o tym?

– Weź, koleś, co ja jakiś jebany sado-maso jestem? Pytaj tych debili od czarnego lateksu. Może ci coś podpowiedzą. Ja pierdolę, oni to mają nasrane! Mówię ci, totalne pojeby. Balbina, laska Grubego, prowadzi taki sklep w necie z tym gównem do bzykania. Żebyś wiedział, o co oni pytają! O kajdanki, sznury, igły, szczypce, noże, haki. Nawet o policyjne pały! Podobałoby im się

u was. – Zarechotał. – Szczerze? Kupują ten szmeln u Balbiny za ciężki hajs, a jakby po złomowiskach po-grzebali, znaleźliby jeszcze lepsze zabawki. Kurwa, stary! Mają nasrane... Bez dwóch zdań! – Kometa, jak zwykle, zbaczał z tematu. Był zbyt gadatliwy i Blattner zawsze musiał przywoływać go do porządku.

– Kometa, nie pierdol mi tutaj o jakichś zbokach, tylko gadaj, co wiesz. – Zdecydowanie ukrócił barwne opowieści informatora.

– Skąd ona? Z Bałut? Nie mój rejon, ale mogę popytać. – Młody zaczął się zbierać do odejścia.

– To popytaj. Tylko szybko. A teraz jeszcze poszperaj w łepetynie. Może ktoś coś mówił? Coś widział? Nikt nowy po mieście się nie kręci?

– Kurwa, ziomal, nic nie macie? Ale jaja! Zero sładów, tak? Rzuć więcej, to się rozejrzę. Co to za laska?

– Studentka romanistyki. Wynajmowała mieszkanie przy Julianowskiej.

– Zerznął ją przed czy po? Wiesz, nie dziw się, stary, bo pytanie słuszne – dodał szybko, widząc wściekłą minę Blattnera. – Bolek... Wiesz który? No, to ten Bolek od zadymy na Chojnach... miał kiedyś takiego kumpla, którego jarało jak laska udawała martwą. Ale to nie tamten, bo zioma skosili dwa lata temu na ustawce i do tej pory nogami nie rusza. A jak nogami nie rusza, to i nie rucha. Więc jak zerżnięta, to nie on. – Znów się ubawił własnym dowcipem.

– Trochę szacunku, gnoju! Mówisz o zmarłej! – Komisarz chwycił dzieciaka za kołnierz i przycisnął do

brudnej, pomazanej wodoodpornymi markerami ściany. – Czyjeś córce i dziewczynie, sukinsynu!

– Dobra! Spoko! Coś pan władza dzisiaj nie w sobie. I oczka podkrążone. Może działeczka amfy by się przydała albo wręcz przeciwnie, coś na sen? Zafurasz sobie, złapiesz haja i będziesz jak nowy. No to jak? Mogę skombinować. Gratis od firmy – wysyczał, lekko się dusząc.

– Nie wkurwiał mnie, Kometa, bo zakończymy naszą miłą współpracę. – Puścił kurtkę chłopaka i pozwolił mu złapać oddech. – Nie była zgwałcona. Ktoś wszedł do domu i udusił ją poduszką. Nic nie zginęło – dokończył już zupełnie spokojnie.

– Poduszką? Ja pierdolę. Ale fachowiec! – Chłopak parsknął śmiechem, ciągle się krztusząc.

Blattner wiedział, że Kometa nienaturalnie dobry humor zawdzięcza jakimś małym kolorowym tabletkom albo zielsku. Gdyby przeszukał teraz kieszenie jego nowiutkich džinsów, pewnie by jeszcze co nieco znalazł. To jednak nie miało sensu. Gówniarz już za rogiem uzupełniłby zapasy, a on sam straciłby dobrego informatora. Akcja kompletnie nieopłacalna.

– Kometa! Nie wkurwiał mnie, już ci mówiłem!

– Dobra, dobra, szefie... ale mnie zdziwko chapło. Poduszka trudny temat. Jakiś, kurwa, amator. Nie lepiej było sznurkiem? Ale OK. Nie moja brocha. Jednego tylko nie kumam. Co to za wielkie halo? Ktoś laskę kropnął. Może zazdrosny koleś? Może kumpela? Mistrzu, znamy się nie od dzisiaj. Nie przychodziłbyś z tym do mnie, gdybyś czegoś nie wyniuchał. Gadaj, co

się nie zgadza, a może dam radę zasięgnąć języka u ludzi. Ale muszę wiedzieć, o co pytać. O zwykłą martwą laskę nie mam co, bo takie nikogo na mieście nie jarają. No może z wyjątkiem tego kumpla Bolka... Ale on też nie ruchał sztywnych, tylko lubił, jak laski udają – wyjaśnił poważnie młody.

Blattner przez chwilę się zawahał. Nie powinien na tym etapie zdradzać szczegółów śledztwa, ale wiedział, że jeśli ktoś im nie pomoże, za cholerę nie ruszą z miejsca. Zwłoki znaleźli prawie dwa tygodnie temu i do tej pory nie mieli najmniejszego punktu zaczepienia. Żadnych śladów, odcisków palców, zero motywu. Wbrew temu, co twierdził Kometa, nie wyglądało to wcale na robotę amatora. Znajomi, sąsiedzi, rodzina – mają alibi. Wszyscy scharakteryzowali ofiarę jako miłą, inteligentną dziewczynę. Zwykła studentka, raczej z tych kujonowatych niż imprezowych. Po uszy zagrzebana w książkach. Wolny czas spędzała jak zakonnica: stowarzyszenie młodych literatów, zajęcia z jogi na uczelni i wolontariat w schronisku dla psów. Chłopak, student anglistyki, w dniu zabójstwa był w Londynie na jakimś stypendium. Wieczór spędzał z rodziną, u której zamieszkał. Potwierdzili. Komórka i komputer dziewczyny też nic nie wniosły. Normalne pliki. Lubiła książki, filmy, muzykę. Trochę się udzielała na tematycznych forach, prowadziła blog o literaturze. Nic niezwykłego. Żadnych szokujących stron, ani śladu anonimowych internetowych kontaktów. Zwykła korespondencja z przyjaciółmi. Znajomi zgodnie twierdzą, że nigdy nie słyszeli o obcych w jej otoczeniu. Najbliższa przyjaciółka i współ-

lokatorka w chwili popełnienia zbrodni była w Krakowie. Potwierdziła, że denatka nie miała wrogów. Nikt nie wie, dlaczego dziewczyna zginęła. Totalny pat i szajs.

Blattner podjął decyzję: musi zaufać Komecie. Żeby jednak nie było, najpierw postanowił mu dobitnie przypomnieć o zobowiązaniach oraz precyzyjnie odmalować konsekwencje najmniejszej skuchy.

– Kurwa, szefie, nie od dziś pracujemy razem, nie? Jarzę zasady! – zaprotestował młody, rozcierając obolałe ramię.

– Nie pracuję z tobą, Kometa, tylko ty pracujesz dla mnie. To pewna różnica. – Na wszelki wypadek jeszcze raz ustawił informatora na właściwej, bliskiej parteru pozycji.

– OK, OK. Coś taki drażliwy? Poczucie humoru ci się zjebało czy jak? Ja pierdolę, nowe dżiny mi uwaliłeś. Posrało cię? Ja pierdolę! Co za kwas! Ty się, ziomal, chyba szajbą od tych świrów, co ich ganiasz, zaraziłeś! Ja pierdolę... całe ujebane... nowe liwajki... trzy stowy z górką mnie kosztowały. Te plamy za chuja pana nie zejda! Ale siara. Odjebało ci czy co? – biadolił Kometa, otrzepując spodnie. – Jedźmy z tym koksem, bo już mi się odechciało milej pogawędki. W czym, kurwa, mogę pomóc?

Wyprostował się i uklonił, naśladując gest uniżonego kelnera. Dopiero teraz było widać, że mierzy nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć. W starciu z Blattnerem nie miałby najmniejszych szans.

– No, Kometa, wreszcie gadasz jak człowiek. – Komisarz poprawił kurtkę. – To słuchaj. Przy dziewczynie

znaleźliśmy receptę. Właściwie, nie całą, tylko kawałek – kontynuował szybko, widząc, że chłopak bierze oddech, by mu przerwać. – Była na niej czerwona litera D. I tyle. Nic więcej. Żadnych pieczętek, podpisów, odebrany numer i kod kreskowy. Nic. Tylko ta litera.

– Może to jakiś śmieć? – zaryzykował diagnozę Kometa.

– Nie sądzę.

– Wygląda na śmiecia.

– Kartka leżała na ustach dziewczyny. Ktoś to zostawił specjalnie.

– O w mordę... – Ostatnia informacja zrobiła na Komecie spore wrażenie. – Jakiś seryjny?

– Od razu widać, Kometa, że filmy amerykańskie się ogląda. – Na widok zaszokowanej miny chłopaka pozwolił sobie na żart.

Nic nie wskazywało na seryjnego i na razie takiego scenariusza nie brali w komendzie pod uwagę. Wiedział jednak, że młody kocha sensacje, więc postanowił go trochę podkręcić do działania:

– Jeszcze nie wiemy. Oby nie, ale istnieje takie podejrzenie. Zostawił znak. Nie mamy pojęcia, co chce nam przekazać, ale coś chce. Obawiam się, że dalsza część tej wiadomości może się znaleźć na buźce innej dziewczyny. Kapujesz? Dlatego wskazany jest pośpiech.

– Spoko... szefie. Ja pierdykam, widzę, że duża sprawa się kroi. Może aniołem nie jestem, ale takie rzeczy nawet w mojej czaszce się nie chcą pomieścić. Kurwa, muszę siorze powiedzieć, żeby obcym nie otwierała. – Chłopak aż się zarumienił z wrażenia.

– Powiedz, Kometa, powiedz. Tylko nie wszystko. Podpytuj z głową. Niedobrze by było, gdyby się po mieście rozniosło. Jak pismaki złapią temat, to mamy po sprawie. Rozumiesz?

– Się wie, szefie. Też nie kochamy tych burych suk z telewizora. Ziomalom sporo krwi napsuli. Lepiej na nich uważać. Wiesz, że kapują psom? – dodał rozżalonym głosem.

– Wiem, chłopaku, wiem – uśmiechnął się Blatter, widząc, że Kometa najwidoczniej zapomniał, z kim rozmawia.

Wracając przesiąkniętymi wilgocią ulicami miasta, komisarz rozmyślał o Elizie, Adzie, Krzyśku, Komecie, a najwięcej o tej dziwnej sprawie. Znał swój fach. Niby brak przesłanek, żeby spodziewać się kolejnego trupa, jednak faktycznie miał wrażenie, że na dziewczynie nie koniec. Uświadomił to sobie podczas rozmowy z młodym. Nie było powodu do dramatyzowania, ale jedno wiedział: za nic nie wolno mu zignorować przeczucia. Gdyby wtedy, tamtego sierpniowego ranka, od razu pobiegł na dach, a nie do mieszkania, być może wszystko potoczyłoby się inaczej. Olał przeczucie, bo rozum kazał mu szukać w oczywistym miejscu. Nie miał zamiaru popełnić tego samego błędu. Pierwszy raz od porwania małej Basi prowadził sprawę nedorzeczną. Zwyczajny człowiek żadnego morderstwa nie nazwie normalnym, ale nie policjant. Zabójstwo w afekcie, z zemsty, dla chęci zysku? Normalne. Zbrodnie o podłożu seksual-

nym? Normalne. Wypadki? Ćpuny uduszone własnymi rzygowinami? prostytutki zadżgane przez alfonsów? Normalne. Istnieje jednak pewna kategoria przestępstw, o których nawet glina powie, że są niedorzeczne. Bo czy nie jest absurdem, że Alicja Dąbrowska – młoda, miła, spokojna dziewczyna, kończy życie uduszona poduszką we własnym łóżku? Jakim cudem morderca nie zostawił najmniejszych śladów? Kilka siniaków na rękach studentki, nic więcej. Niczego nie znaleźli nawet pod paznokciami, a przecież musiała się bronić. Wiedział, gdzie i czego będą szukać? A skoro taki z niego zawodowiec, dlaczego użył poduszki? Kometa miał rację, to by wskazywało raczej na brak planu. I co oznacza recepta? Blattner nie miał pojęcia, ale wiedział na pewno, że nie znalazła się tam przypadkiem.

Księgowego tropił ponad rok. Ponad rok skurwysyn ukrywał córkę swoich przyjaciół. Przychodził do tych ludzi na obiady, wspierał, doradzał, prowadził z nimi interesy, nawet udawał, że pomaga w poszukiwaniach. W tym samym czasie w piwnicy niewykończonego domu niedaleko Bedonia trzymał ich jedyne dziecko. Robił małej nagie zdjęcia. Wrzucał w sieć i zarabiał. A między sesjami... Blattner poczuł, jak mu gwałtownie skacze ciśnienie – szum w uszach, ból skroni aż do mdłości. Nie, nie wolno mu dalej o tym myśleć. Musi w końcu zapomnieć. Tamtego dnia, kiedy dotarli na miejsce, piwnica była pusta. Świr ich wyczuł i zdążył małą wywieźć. Ruszyli prosto do mieszkania księgowego w „Panoramice” – ogromnym apartamentowcu na Widzewie. Już prawie gnoja mieli. Prawie... Blattner poczuł, jak

dusi go wściekłość. Układało mu się w głowie, czemu osaczony psychol skoczył z dachu wieżowca. Ale dlaczego pociągnął ze sobą w otchłań dziecko? Tego komisarz nie potrafił pojąć. Dorota, policyjna psychołożka, wyjaśniła, że świr uważał małą za swoją własność. Że to coś, co czasem ludzie biorą za miłość. Księgowy w swojej zrypanej psychice kochał sześćioletnią dziewczynkę jak kobietę, żonę. Wspólne samobójstwo uznał prawdopodobnie za bardzo romantyczne rozwiązanie. A na pewno – oczywiste. Ponoć szajbus, gdyby przeżył, trafiłby na leczenie. Był mocno zaburzony – tak powiedziała Dorota. *Pierdołę to!* – pomyślał Blattner. – *Co to za kraj, który gwałcicieli i zabójców małych dziewczynek wysyła do szpitala zamiast do kamieniołomów? A jeszcze lepiej na krzesło elektryczne. Może i dobrze, że skurwiel nie żyje. Szkoda tylko, że wcześniej się nie spotkaliśmy. Wielka, wielka szkoda.*

Wiedział, że musi zostawić to za sobą, bo oszaleje. Może powinien skorzystać z rady Doroty i przyjść na terapię? Do tej pory unikał wsparcia, bo w głębi duszy uważał zwierzanie się komukolwiek, nawet specjaliście, za niemęskie. Prawdziwy facet, twardy glina, powinien radzić sobie sam. Jednak, choć nie spał od dwudziestu godzin, wiedział, co nastąpi, kiedy wróci do domu. Dopadnie go Basia w pomarańczowej sukience, rozzalona Eliza, twarz Krzysztofa, którego zdradził w najgorszy z możliwych sposobów. Być może zazna odrobinę ukojenia, przypominając sobie nieziemski seks z Adą. Jej jasne włosy, małe piersi, krągłe pośladki. Zbyt niski jak na kobietę głos. Zmrużone przy pocałunku zielone oczy.

Zapach, kojarzący mu się ze świtem w górach. Wtedy na chwilę zaśnie jak dziecko. Ale nie pośpi długo, bo znów księgowy zacznie mu się śmiać prosto w nos, znów przyjaciel będzie wlepiął w niego rozczarowany wzrok.

Jego rozmyślania przerwał sygnał przychodzącej wiadomości. Blattner ze zdziwieniem zauważył, że znajduje się parę metrów od domu. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni telefon i zerknął na wyświetlacz. SMS informował go o wygranej na loterii. To już siódmy mercedes w tym tygodniu. Kto ma więcej szczęścia niż on?

Faza REM
Copyright © Agnieszka Sudomir
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Paweł Dobkowski
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017 r.

druk ISBN 978-83-7995-111-6
epub ISBN 978-83-7995-112-3
mobi ISBN 978-83-7995-113-0

Redakcja: Bożena Kurzydłowska
Korekta: dr Marta Kładź-Kocot
Ilustracja na okładce: Paweł Dobkowski
Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski
Skład i typografia: Marcin A. Dobkowski / www.proAutor.pl
Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl i
www.eBook.MadBooks.pl





[Kup książkę](#)

SPALIĆ WIEDZMĘ MAGDALENA KUBASIEWICZ

Sara Weronika Sokolska, zwana Saniką, w niczym nie przypomina nadwornej czarodziejki. Młoda, żywiołowa i dzika jak magia, którą włada, stanowi jedną z największych tajemnic królewskiego dworu. Nie wiadomo, gdzie uczyła się magii i kto był jej mistrzem, ani nawet skąd przybyła do Krakowa. Plotki mówią, że jest najbliższą przyjaciółką i powiernicą króla Julina, a może nawet kimś więcej. Media donoszą o jej spektakularnych wyczynach: polowaniach na biesy, inkuby i strzygi, o pojedynkach z członkami Łoży Czarodziejów.

Wydaje się, że Sanika jest najpotężniejszą czarownicą w Polanii i tylko szalenieć mógłby rzucić jej wyzwanie. A jednak nawet moce wiedźmy mogą okazać się niewystarczające w starciu z przeciwnikiem, który pragnie zniszczenia Krakowa. Wrogiem, za którym stoi pradawna i niezwykle potężna magia...

„Magdalenie Kubasiewicz udało się zgrabnie wpisać motyw z krakowskich legend w nowoczesność, a baśniową symbolikę połączyć z wartką akcją. Smok wawelski, czarnoksiężnik Twardowski, diabeł z Krzysztoforów zyskują nowe oblicze, ale to pyskata Sara skradła moje serce.” – Agnieszka Hałas, autorka cyklu „Teatr węży”

PIERWSZY TOM PRZYGÓD SANIKI

Marta Krajewska

Idź i czekaj mrozów



GENIUS
CREATIONS

[Kup książkę](#)

IDŹ I CZEKAJ MROZÓW MARTA KRAJEWSKA

W świecie, gdzie puszcza włada leszy, w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród chat przemykają zmory i strzygonie, młodziutka Venda musi stanąć na straży bezpieczeństwa mieszkańców Wilczej Doliny. Przyjdzie jej mierzyć się nie tylko z bogami czy stworzeniami nocy, ale znacznie groźniejszymi przeciwnikami: samotnością, strachem i zwątpieniem.

Na oczach Vendy wypełnia się starożytne proroctwo. Do Wilczej Doliny powraca DaWern – ostatni z Wilkarów. Zemsta Pana Lasów za rzeź jego dzieci wydaje się nieunikniona. Czy zakazana miłość stanie na drodze przeznaczeniu, czy też pozwoli wypełnić przerażającą przepowiednię? Jak potoczą się losy zakochanego w zielarce syna karczmarza, pięknej minstrelki Stalki, towarzyszącego jej wojownika i innych mieszkańców wioski, z których każdy skrywa swoje tajemnice?

„Stare opowieści krążą między nami, a my żyjemy między nimi. Podążałem znajomymi tropami, gubiłem się w nich i dawałem opłatać pełnej grozy magii, w którą schwytała mnie autorka.” – **Paweł Majka**, autor „Pokoju światów” i „Wojen Przestrzeni”, dwukrotny zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego

PIERWSZY TOM OPOWIEŚCI Z WILCZEJ DOLINY

Marta Krajewska

Zaszyj oczy wilkom



 GENIUS
CREATIONS

[Kup książkę](#)

ZASZYJ OCZY WILKOM MARTA KRAJEWSKA

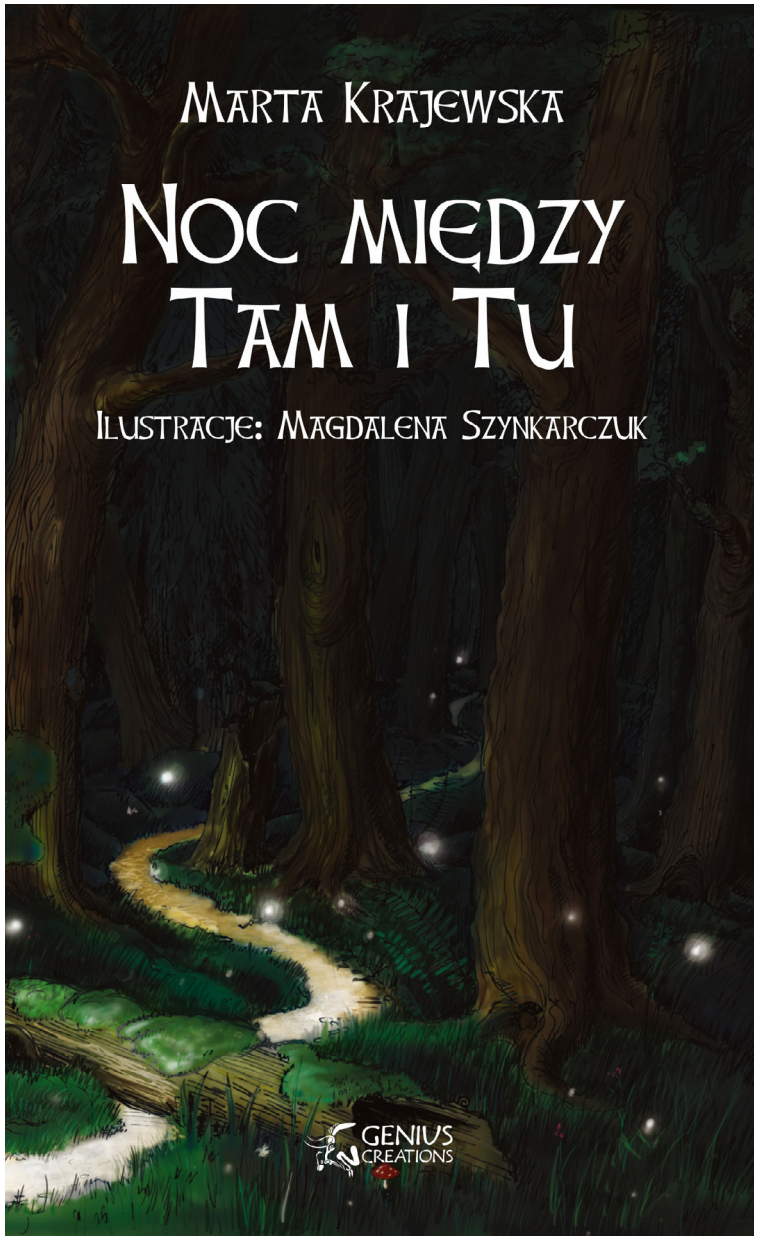
Podczas każdej pełni księżyca mieszkańcy Wilczej Doliny ryglują drzwi w chatach i siedzą w ciszy, nasłuchując z niepokojem wycia wilkołaka. Pochłonięta własnymi kłopotami Venda nie potrafi w pełni poświęcić się obowiązkowi Opiekunki. Nikt nie wie, jak wygórowaną cenę zapłaciła dziewczyna za pomoc otrzymaną od Pana Lasu i jak długo jeszcze będzie jego dłużniczką.

Atra, niepomna ostrzeżeń, pragnie nie tylko odzyskać to, co utraciła, ale również zemścić się. W trakcie swoich poszukiwań odkrywa, że być może ostatni z wilkarów będzie w stanie jej pomóc. Czy jednak jej starania nie doprowadzą do jeszcze większych nieszczęść? Więź łącząca Vendę i DaWerna nie może zostać zerwana bez straszliwych konsekwencji.

W świętym gaju bogowie milczą, a Venda czuje się opuszczona i bezsilna. Nad Wilczą Doliną zapada zmrok...

„Nikt, tak jak Marta Krajewska, nie potrafi przedstawiać słowiańskiej fantasy poprzez lokalność z jej barwnymi obrzędami i rytuałami. „Zaszyj oczy wilkom” nie jest kolejną epicką opowieścią o zbiorowisku herosów albo jeszcze jedną wariacją na temat „Gry o Tron”. To oryginalna, swojska a przy tym tajemnicza fantasy.” - **Paweł Majka**, autor „Pokoju światów” i „Wojen Przestrzeni”, dwukrotny zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego

DRUGI TOM OPOWIEŚCI Z WILCZEJ DOLINY



MARTA KRAJEWSKA

NOC MIĘDZY TAM I TU

ILUSTRACJE: MAGDALENA SZYNKARCZUK



[Kup książkę](#)

NOC MIĘDZY TAM I TU MARTA KRAJEWSKA

Oto wzruszająca historia siedmioletniego Bratmiła. Pewnej letniej nocy samotnie wyrusza na poszukiwanie swojej siostrzyczki, małej Paprotki. W lesie spotka istoty ze słowiańskich baśni i legend, które pomogą mu odnaleźć nie tylko ją, ale przede wszystkim siebie.

Marta Krajewska z wdziękiem porusza trudny temat rywalizacji między rodzeństwem. Zaprasza dzieci i ich rodziców na wyprawę do spowitego słowiańską magią świata. Z wyprawy Tam Wasze pociechy wrócą Tu odmienione i bardziej kochające.

OPOWIEŚĆ Z WILCZEJ DOLINY

MARCIN A. GUZEK



KOMANDORIA 54

SZARE PŁASZCZE

[Kup książkę](#)

KOMANDORIA 54 MARCIN A. GUZEK

Na rubieżach upadającego Imperium, w dowodzonej przez Olafa Komandorii 54, stacjonuje grupa nowicjuszy Zakonu Szarej Straży. Ten mały i niedoświadczony oddział ma za zadanie egzekwować prawo i zapewnić osadnikom bezpieczeństwo. Nie będzie to jednak proste.

Na pograniczu schronienia szukają adepci zakazanych sztuk, przestępcy i zbiegli niewolnicy. Granicę przekraczają dzikie plemiona, a w łupieżczych wyprawach towarzyszą im potężni szamani i nadprzyrodzone istoty. Imperium wystawia przeciwko nim nie grupę rycerzy w lśniących zbrojach, a niedoświadczonych rekrutów pod wodzą zgorzkniałego weterana. Czy to może się skończyć inaczej niż pożogą i zgłiszczami, płaczem ocalałych i lamentem wziętych w niewolę?

„Przyjemny mariaż historycznej wiedzy autora z fabularną lekkością, przyprawiony ostrymi żeleźcami toporów i świstem strzał. W sam raz by umilić deszczowe popołudnie.” - Jacek Łukawski, autor „Krew i stal” i „Grom i szkwał”

PIERWSZY TOM SZARYCH PŁASZCZY

ARTUR OLCHOWY

CZAROWNICA
ZNAD KAŁUŻY



CZAROWNICA ZNAD KAŁUŻY ARTUR OLCHOWY

Świat sprzed wojny, która zdziesiątkowała ludzkość, pamięta już tylko Kośława – stara zielarka mieszkająca nieopodal mazurskiego Okartowa. Przeczuwając zbliżającą się śmierć, przyjmuje na ucznia syna miejscowego gospodarza, by przekazać mu całą swą wiedzę.

Tymczasem do wsi przybywa nowy wikariusz. Realizując swoją szczególną misję, burzy ustalony ład okartowskiej społeczności.

W walce o małą ojczyznę i jej mieszkańców Czarownicy przyjdzie zmierzyć się nie tylko z bezwzględnymi i niekiedy szalonymi ludźmi, lecz także z własną starością, chorobą i sumieniem.

„Przed wami niesamowita książka autora, którego naprawdę warto zapamiętać. Szczerze polecam!” - **Robert J. Szmidt**, autor „Samotności Anioła Zagłady”, „Łatwo być bogiem” i „Ucieczki z raj”

„Proza Olchowego to proza specyficzna. Jeśli szukacie literatury stricte rozrywkowej, to „Czarownica...” jak i inne produkcje Artura nie jest dla was. Rozrywkę tam bowiem znajdziecie, ale doprawioną przyprawami, które niekoniecznie zniesie co słabsza czytelnicza głowa.”
- **Marcin Podlewski**, autor cyklu „Głębia”

PIERWSZY TOM OPOWIEŚCI ZNAD KAŁUŻY

Wyspa Mgieł

Maria Zdybska



[Kup książkę](#)

WYSPA MGIEŁ MARIA ZDYBSKA

Czasami dwie dusze łączy więź silniejsza niż śmierć.

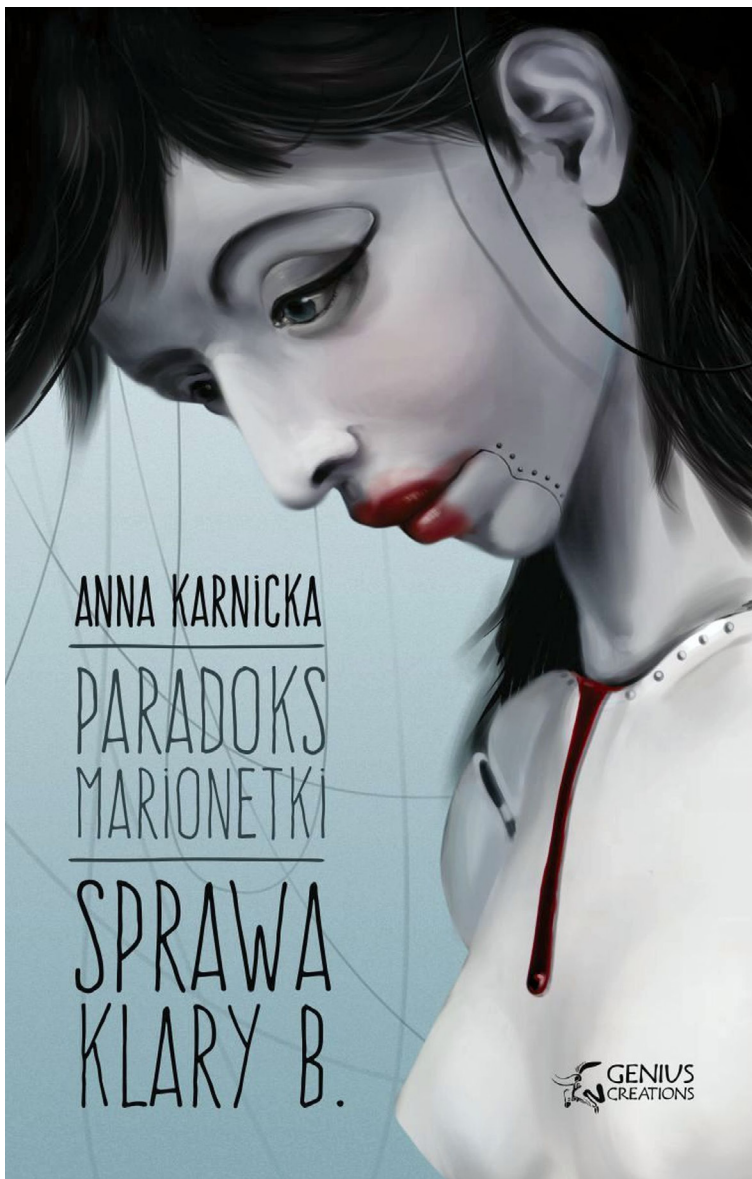
Ona – przybrana córka pirata, uratowana z morskiej kipieli. W jej przeszłości ukryty jest klucz do potężnej mocy, która może przynieść wybawienie lub zgubę.

On – potężny mag, wyrzutek, arogant i sybaryta. Od lat poszukuje, choć sam nie wie, czego i dlaczego.

Kiedy jednak ich drogi się spotykają, przejmują nad nimi kontrolę siły potężniejsze od nich samych. Bogowie i demony, nieumarli i czarnoksiężnicy, zapomniana magia i stracone życia – droga do ich poznania zaczyna się na tajemniczej Wyspie Mgieł.

“Wyspa Mgieł” to powieść young-adult fantasy przesiąknięta zapachem morza, pełna przygód, barwnych opisów i fantastycznych istot. Poznaj losy wyrzuconej przez morze Lirr i daj się oczarować tajemniczemu magowi o imieniu Raiden.
- **Melissa Darwood**, autorka „Pryncypium”, „Larista” i „Luonto”

PIERWSZY TOM KRUCZEGO SERCA



SPRAWA KLARY B. ANNA KARNICKA

Dziewiętnastoletni Martin ponad wszystko pragnie pracować w teatrze lalkowym. Zaproszenie na egzamin wstępny do prestiżowej Praskiej Szkoły Lalkarzy wydaje mu się spełnieniem najgorętszych marzeń. Chłopak nie zdaje sobie jednak sprawy, że kiedy tylko osiągnie swój cel, Praga, jego rodzinne miasto, odkryje przed nim swoje mroczne i przerażające oblicze.

Spełnienie marzeń nie zawsze jest tym, czym się wydaje...

„W książce Anny Karnickiej jest wszystko, co powinno znaleźć się w dobrej powieści. dla młodzieży – przygoda, zagadki, niebanalni bohaterowie. Jednocześnie autorka nie pozwala sobie na popadanie w schematy, a jej historia to nie cukierkowa opowiastka, w której wszyscy żyją długo i szczęśliwie.”
- **Magdalena Kubasiewicz**, autorka „Spalić wiedźmę” i „Wiedźma Jego Królewskiej Mości”

PIERWSZY TOM PARADOKSU MARIONETKI

Marcin Jamiołkowski

OKUP KRWI



[Kup książkę](#)

OKUP KRWI MARCIN JAMIOŁKOWSKI

Herbert wie, że spokojne życie w jednej z podwarszawskich miejscowości, gdzie nikt nie zna jego mrocznej przeszłości. Nawet przed ukochaną kobietą skrzętnie skrywa kim jest naprawdę. Bycie skromnym krawcem z Podkowy Leśnej jest spełnieniem jego marzeń.

Przeszłość jednak nie pozwala o sobie zapomnieć. Melania zostaje uprowadzona i jej życie zależy tylko od tego czy Herbert zdąży na czas dostarczyć tajemniczą przesyłkę do Warszawy – miasta, od dawna pozbawionego magii, w którym moce Herberta nie działają.

Pokonanie 30 kilometrów w kilka godzin nie wydaje się być wielkim wyzwaniem. Staje się nim jednak, kiedy jego tropem ruszają: magowie, wysłannicy tajemniczego Bractwa Miast, wyznawcy Bazyliuszka, najemnicy i policja. Przeszkody piętrzą się na każdym kroku i tylko poznani przypadkowo sojusznicy oraz niespodziewanie budząca się do życia magia stolicy dają szansę na ocalenie ukochanej.

Czasu jest coraz mniej.

Warszawa nie miała do tej pory swojego maga. Teraz już ma! Nazywa się Herbert Kruk.

PIERWSZY TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA

Marcin Jamiołkowski

ORDER



 GENIUS
CREATIONS

[Kup książkę](#)

ORDER

MARCIN JAMIOŁKOWSKI

Magia powróciła do Warszawy, a wraz z nią nadciągnęły kłopoty – zagiął ważny dla bezpieczeństwa stolicy artefakt. Prowadzone konwencjonalnymi metodami śledztwo nie przynosi rezultatów, a więc czas na rozwiązania magiczne. Do pomocy zostaje zwербowany Herbert Kruk.

Kto planuje wyrządzić krzywdę pozbawionej ochrony Warszawie i jej mieszkańcom? Jaką moc kryje w sobie Order, który miasto otrzymało kilkadziesiąt lat temu z rąk potężnego maga i dlaczego został skradziony?

„Coś się wydarzy” – mówią ogłoszenia w autobusach. Czy ponure przeczucia Herberta się sprawdzą? Jakie sekrety skrywają tajemnicze tunele, położone głęboko pod Warszawą?

Tropy prowadzą w różne miejsca, a czasu jest jak zwykle za mało.

“Wpędzić maga w kłopoty to jedno, ale wpłatać tak ciekawie i zabawnie, jak to zrobił Marcin Jamiołkowski, to naprawdę wyższa szkoła jazdy. Dawno się tak świetnie nie bawiłem, czytając książkę polskiego autora. Dodatkowo plus za podejście do magii oraz legend. Naprawdę pomysłowa urban fantasy.” - **Romuald Pawlak**, autor bestsellerowych powieści „Armia ślepców”, „Inne okręty” i „Rycerz bezkonny”

DRUGI TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA

Marcin Jamiołkowski

BEZSENNI



GENIUS
CREATIONS

[Kup książkę](#)

BEZSENNI MARCIN JAMIOŁKOWSKI

W stolicy wybucha seria tajemniczych pożarów. W dziwny sposób łączą się one z niezwykle błękitnym płomieniem, który nawiedza sny młodej blogerki, wabiąc przypadkowe ofiary i paląc je na popiół. Ktoś... lub coś morduje Bezsensnych, ulubieńców Złotej Kaczki, niepodzielnie władającej magiczną Warszawą.

Herbert Kruk jak zwykle ma szczęście – lub pecha – znaleźć się w samym centrum wydarzeń.

Czy mag wygra wyścig z czasem i zdoła ponownie ocalić stolicę? Jakie intrygi rozgrywają się na Dworze Złotej Pani? Czy agent rosyjskiego Archiwum X okaże się sojusznikiem, czy może śmiertelnym wrogiem? Jaką cenę trzeba będzie zapłacić za pomoc rusałki? I wreszcie – czy warszawski czarodziej zdoła uratować swoją matkę, od lat zamkniętą w magicznym kryształce?

Magiczna Warszawa pełna ognia, piękny i niebezpieczny dwór Złotej Pani, intryga, uroczy główny bohater, czyli Kruk po raz trzeci rzuca czar na czytelników. „Bezsensni” w niczym nie ustępują poprzednim częściom cyklu. –
Magdalena Kubasiewicz, autorka „Spalić wiedźmę” i „Wiedźma Jego Królewskiej Mości”

TRZECI TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA